

Urszula Jakubowska

Lwowski batiar w literaturze

Podjmując w swych badaniach temat mitu lwowskiego batiara¹, musiałam sięgnąć nie tylko do zapisów wspomnieniowych, piosenek, dialogów radiowych i filmowych, ale także do utworów literackich. Przygotowując szersze opracowanie tegoż tematu, starałam się prześledzić także konteksty, w jakich pojawiał się w literaturze pięknej lwowski batiar, i tym samym odpowiedzieć na pytanie: w jakim stopniu środowisko literackie uczestniczyło w tworzeniu mitu lwowskiego batiara? W prezentowanym tu tekście pomijam słownikowe definicje słowa batiar, a zainteresowanych odsyłam do wspomnianego na wstępie artykułu.

Jednocześnie pisząc o samym micie, uznałam za konieczne poprzeć stanowisko tych badaczy, którzy przyjmują, iż historyk na podstawie swojej wiedzy i umiejętności warsztatowych ma szczególne możliwości, a także obowiązek traktowania mitów i mitologii jako procesów dynamicznych, które wyrastają z obciążeń przeszłością, ale zachowują wartości pragmatyczne dla interesów postulowanej czy też życzeniowej przyszłości². Z takiego pojmowania zadań historyka wynika potrzeba zbadania nie tylko genezy samego mitu batiara, ale także jego trwałości i zmienności na przestrzeni ostatnich stu lat. Tyle bowiem lat liczy już sobie mit lwowskiego batiara, a na naszych oczach dokonuje się dalsze jego przekształcanie.

Szczególne znaczenie dla mitologizowania postaci batiara miała pierwsza wojna światowa, odzyskiwanie przez państwo polskie niepodległości, a przede wszystkim listopadowe polsko-ukraińskie walki we Lwowie w 1918 roku, znane w literaturze przedmiotu jako Obrona Lwowa. Udział lwowskich batiarów w walkach o Lwów odnotowany został również przez literaturę piękną. Niebagatelną rolę w tworzeniu i utrwalaniu mitu batiara-obrońcy Lwowa odegrała

¹ U. Jakubowska, *Mit lwowskiego batiara*, w: *Polskie mity polityczne XIX i XX wieku*, Wrocław 1994, s. 119–137.

² Por. W. Wrzesiński, *Polska mitologia polityczna XIX i XX wieku*, w: *Polskie mity polityczne*, s. 9.

książka Mirosława Bezludy [prawdziwe nazwisko Ferdynand Neumauer]³. Pisarz ten, urodzony we Lwowie w 1890 roku w rodzinie nauczycielskiej, przed pierwszą wojną światową ukończył Seminarium Nauczycielskie i do 1920 roku pracował jako nauczyciel w swym rodzinnym mieście⁴. Już w swej pierwszej książce o lwowskim batiarze dał się poznać jako wnikliwy obserwator życia mieszkańców lwowskiego przedmieścia⁵. Zarówno ta, jak i wspomniana wcześniej powieść przedstawiają losy Józka Kulika, chłopaka lwowskiej ulicy. Akcja *Akademii Józka* zaczyna się w przeddzień pierwszej wojny w 1913 roku, a kończy w październiku 1918.

Łódzki „Dziennik Ludowy” tak pisał o bohaterze Bezludy:

Józko, podobnie jak ulicznik paryski Gawroche Wiktora Hugo – czuje się na ulicy jak na swoich śmieciach, jak on ma zawsze ochotę do „psich figłów” i psoci mimo biedy, a nawet nędzy, którą przeżywa; jak u Gawroche’a bije u niego pod natężeniem łobuzerii dobre czujące serce.

„Kurier Łódzki” zaś na postawione przez siebie pytanie: Kim jest tedy bohater powieści Bezludy? odpowiadał:

Jest zwykłym batiarem lwowskim, typowym dzieckiem Łyczakowa, dzieckiem zresztą ulicy. Sam typ tak wiernie odtworzony, tak doskonale ujęty i tak naturalny, nie znajdziecie sobie równego w polskiej literaturze wojennej⁶.

Do odpowiedzi tej należałoby dodać dalsze szczegóły.

Ojciec Józka jest brukarzem, a matka praczką, sam Józek zaś donosi ojcu jedzenie do pracy „na Gródku”. Plany życiowe małego batiara⁷ z książki Mirosława Bezludy są wyraźnie sprecyzowane.

Zawsze sobie obiecuję – marzy Józek – że jak wyrosnę, zostanę murarzem i będę murował domy na wsi, gdzie będzie dużo pól...Ojciec jednak chce mnie oddać do kelnera, bo kelnerzy dużo zarabiają⁸.

³ M. Bezluda, *Józko żołnierzem polskim*, Grudziądz 1934.

⁴ S. Poręba, *Ferdynand Neumauer*, w: *Polski Słownik Biograficzny*, t. XXII, s. 695.

⁵ M. Bezluda, *Akademia Józka*, Grudziądz 1932.

⁶ Tenże, *Józko żołnierzem polskim*, s. 8–10.

⁷ Wypada w tym miejscu zasygnalizować, iż słowo *batiar* pojawia się u Bezludy także jako nazwa specyficznego rodzaju taniej kielbasy, robionej – jak wyjaśniał sam autor – „z różnych bydlęcych i końskich odpadów najbardziej nieużytecznych, kupowanej głównie dla psów”, ale także wtedy, gdy, jak twierdził Józko Kulik, „u nas nie ma pieniędzy, to często też kupujemy batiara, lecz on nie smakuje tak jak kiszka, chociaż do wódki to podobno jest on całkiem dobry”. Por. M. Bezluda, *Akademia Józka*, s. 18.

⁸ Tamże, s. 20–21.

Mieszkanie rodziny Józka składa się z pokoju i kuchni. Józko sypia w nim na podłodze, siostra na pace z węglem, rodzice na kanapie, a jedyne łóżko zajmuje lokator, kelner Bielecki, który często przyprowadza jeszcze na noc „siostrę”. Niekiedy pojawia się w mieszkaniu drugi lokator, a wtedy z kanapy wyciągane jest jej oparcie i służy mu jako materac. Na podłodze w tym samym jednym pokoju czasem śpi jeszcze stary, 71-letni Szymon, ale tylko wtedy, gdy na dworze pada deszcz. W bezdeszczowe bowiem noce Szymon sypia w krzakach na Wałach.

Józko Kulik jest chłopcem ciekawym świata; nie przepuści żadnej okazji, aby dowiedzieć się, co się w mieście, na lwowskim Rynku dzieje. Aby przedostać się przez tłum ciekawskich przechodniów, nie waha się użyć takich oto własnych sposobów:

Pchając się uszczypnąłem jedną, to drugą kumoszkę w zadek, one napadły z pyskiem na jakiegoś żydka stojącego za nimi – ja z tego korzystam, przeciskam się i już jestem w środku⁹.

Warto tu przytoczyć ciąg dalszy Józkowej opowieści, aby zapoznać czytelnika nie tylko z używanym przez Józka językiem, ale i pokazać, co go szczególnie interesowało, bawiło i ekscytowało w wieku 13 lat. Wszystko to daje się znakomicie odczytać z takiej oto relacji:

Dwie baby piorą się po mordzie, aż strach! Gruba bije i krzyczy, ta mała tylko bije. Jakie to ładne! Ludzie stoją dookoła i śmieją się – aż za boki się biorą¹⁰.

Gdy jedna z przekupek potrąca Józka, ten nie pozostaje jej dłużny i „klnie babę jak szewc”¹¹.

Rodzina Józka w hierarchii społecznej stoi bardzo nisko. Nawet woźny magistracki nie pozwala swemu synowi bawić się z Józkiem, a samego Józka nazywa „batiarem i oberwańcem”¹².

Józko ma własną specyficzną moralność. Nie ukrywa swej niechęci wobec Żydów mieszkających w jego kamienicy. Razem ze swymi kolegami często zresztą dawał im się we znaki. Opowiada o tych złośliwych wybrykach bez żadnej skruchy, pełen dumy, że udało mu się „tych naszych żydków tak urządzić”¹³. Wachlarz tych wybryków był dość szeroki: a to wrzucanie niegaszonego wapna do kuczek, a to niszczenie jedzenia przygotowanego przez Żydów na

⁹ Tamże, s. 13.

¹⁰ Tamże, s. 13.

¹¹ Tamże, s. 14.

¹² Tamże, s. 42.

¹³ Tamże, s. 58.

szabas, a to wciąganie małych Żydów do bramy i ucinanie im pejsów.

O sobie samym Józko tak mówi:

Ulicznik to ja, bo wiem, że tak nazwał mnie jeden stary pan, kiedy pokazałem mu język, a gdy za mną leciał to i tylek, w który kazałem się pocałować.[...] Cały dzień latam tylko po ulicy z gazetami, a moje ubranie jest też tak podarte, jak u tego waga-bundy, wymalowanego na afiszu kina „Uciechy”, kiedy grali dramat: Miłość ulicznika¹⁴.

Batiar z książek Beżłudy to także człowiek, w którym w pewnym momencie odzywa się chęć dalszego uczenia się, zdobywania wiedzy. Taki obraz batiara nie był wówczas jednak powszechny i autor *Akademii Józka* musiał zdawać sobie z tego sprawę. Świadczą o tym słowa, które kazał wypowiedzieć swemu bohaterowi. Józko, który za namową gimnazjalnego profesora Trzczińskiego zrezygnował z pracy w kawiarni i rozpoczął naukę w pierwszej klasie gimnazjum, tak zareagował na ten fakt:

Każdy dziwi się, że ja – ten gazeciarz, oberwaniec, ulicznik i kelner, chodzę do gimnazjum¹⁵.

W taki oto sposób Mirosław Beżłuda – wydaje się, że w pełni świadomie – stał się współtwórcą mitu lwowskiego batiara, czyli jakbyśmy powiedzieli, używając określenia Zofii Kurzowej, nadawał tej postaci „coraz bardziej dodatnio wyróżniającego nacechowania”¹⁶. Dla czytelnika powieści *Beżłudy* nie ulegało wątpliwości, że Józko Kulik jest bohaterem jak najbardziej pozytywnym. Dorosłszy, zaczyna rozumieć, czym jest nauka w życiu człowieka. Uczy się więc pilnie, a dodatkowo motywuje go do tego obawa przed „złapaniem sztempu”[wstydu – UJ] wobec profesora Trzczińskiego¹⁷.

Z końcem czerwca 1916 roku Józko przechodzi do drugiej klasy gimnazjum. To właśnie w gimnazjum w kontaktach z nauczycielami i kolegami rodzi się świadomość narodowa Józka i jego nienawiść do Austriaków.

Teraz to już wiem, że Austria jest tak samo wrogiem Polaków, jak Rosja i Prusy wyznaje Józko pod wpływem rozmów z lwowskimi studentami, legionistami Piłsudskiego. Swe nowe poglądy wyraża jednak najczęściej językiem łyczakowskiej ulicy:

¹⁴ Tamże, s. 122.

¹⁵ Tamże, s. 168.

¹⁶ J. Habela, Z. Kurzowa, *Lwowskie piosenki uliczne, kabaretowe i okolicznościowe* do 1939 r., Kraków 1989, s. 310.

¹⁷ M. Beżłuda, *Akademia Józka*, s. 168.

Przynajmniej – stwierdza – oddaliby [Austriacy – UJ] nam tę naszą Galicję, którą skradli Polsce, bo to, co mi kiedyś mówili, że Austria uratowała ją...to bujdy na resorach![...]Porządny Polak z ochoty w wojsku austriackim nie służy, a służy tylko dlatego, że mu każą [...] Austriacy biją się pod psem...Najlepiej to umieją wrywać. Jak zaczną wiać, to już ich tak łatwo w tem zmykaniu nikt nie zatrzyma[...]Tacy to są ci „nasi kochani” Austriacy! Piesby im mordy lizał! ¹⁸.

Ten proces kształtowania się u Józka Kulika narodowej świadomości stanowi w książce *Bezludy* bardzo istotny jej wątek, stąd też i tyle miejsca zajmuje jego przedstawienie w niniejszym tekście. Poza tym *Bezluda* narodzin uświadomionego batiara – a Józko nim wciąż dla niego pozostaje – dopatruje się już w czasie wojny, a nie, jak czyni to większość autorów, dopiero w listopadzie 1918 roku. Po ogłoszeniu przez Austrię i Niemcy Aktu 5 listopada 1916 roku zapowiadającego utworzenie państwa polskiego, autor *Akademii Józka* pozwala swemu bohaterowi określić się już bardzo wyraźnie.

Dziś wiem – mówi Józko – że jestem Polakiem i idąc w pochodzie, radowałem się, że Polska powstała. [...] Sam nie wiem, jak radość tę mam nazwać, tak wielką ona była, i dodaje jakby usprawiedliwiając się: W pierwszych chwilach wojny szedłem tak z tymi, co manifestowali za wojną. Byłem wtedy jeszcze mikrusem i myślałem, że Austriacy – to nasi¹⁹.

Dalsze plany życiowe Józko coraz częściej wiąże z nadzieją na zakończenie wojny i tak mówi o swych marzeniach:

Muszę koniecznie coś zarabiać, bo nie chcę być łazikiem-darmozjadem! Chciałbym sobie kupić książki do czytania, kołnierzyki, krawatki lub jakie inne rzeczy, aby wyglądać tak jak Franek, który po robocie przebiera się w eleganckie ubranie. Ubranie takie pasuje mu nawet, bo jest on najstarszym z tych wszystkich chłopców, co sprzedaje gazety. Ma on również legitymację z administracji jednego pisma, że jest kolporterem²⁰.

Franek, wysoki i barczysty, jest postrachem wszystkich chłopców z Łyczakowa. Nic dziwnego, że Józko mówi o nim z podziwem i ceni bardzo sobie jego przyjaźń. Z dumą opowiada o wieczornych wspólnych spacerach:

Zawsze wieczorem po ukończonym sprzedawaniu gazet wychodzimy obaj na ulicę. Franek funduje okrawki, okruszki, kiszki i daje mi szluga. Jak jest bieda, to palimy do motia [do spótki – UJ], ale za to prawdziwego papierosa²¹.

¹⁸ Tamże, s. 171.

¹⁹ Tamże, s. 210.

²⁰ Tamże, s. 214–215.

²¹ Tamże, s. 215.

Jak widać Łyczaków i obowiązujące na nim szczególne preferencje i upodobania stanowią wciąż dla Józka gimnazjalisty najważniejszy punkt odniesień w jego postępowaniu i zachowaniu. Natomiast lekcje języka polskiego w gimnazjum sprawiły, że młody Kulik nie tylko rezygnuje z „nazywania niektórych rzeczy z niemiecka”, ale też „by nie palnąć czasem w szkole głupstwa” starał się nie używać już takich lwowskich wyrażen: kinol, ferniak, kabza, sumer, majcher [nos, nos, porfel, chleb, nóż – UJ] i rozmawiać po lwowsku tylko ze wspomnianym już Frankiem, „który inaczej gadać nawet nie umie”²².

Józko czuje się silnie związany z dzielnicą, w której wyrósł, ze sposobem myślenia jej mieszkańców. Uważa więc wciąż, że nigdy dość życiowego sprytu. Z pobłażaniem wysłuchuje swego rówieśnika, który nie może doczekać się chwili, kiedy pójdzie do wojska.

Ja tam nie frajer iść! Jakby mnie wzięli, to zaraz rozpocząłbym się dekować na wszystkie znane mi sposoby

tak przedstawia swoje stanowisko, wspierając je osobistym doświadczeniem:

Gdyby ojciec umiał się dekować, nie zostałby zabity²³.

Przyznaje jednak słuszność swemu koledze, gdy ten uzmysławia mu, że tylko z tej wojny może powstać wolna Polska. Tenże sam Józko zresztą stanie bez wahania do obrony Lwowa w listopadzie 1918 roku. W tej nowej roli wystąpił w drugiej powieści Beżłudy *Józko żołnierzem polskim*.

Dla czytelnika tej nowej książki nie ulegało wątpliwości, że i tu Józko Kulik występuje jako pozytywny przedstawiciel lwowskich batiarów. Utożsamiać miał tę ich godną naśladowania i podziwu postawę w trudnych dla miasta chwilach. Beżłuda uważa przy tym, że tytułowy bohater powinien czytelnikowi uzasadnić swą decyzję. Józko uczynił to w taki oto sposób:

Bronimy własnej wolności przed obcą przemocą, a przed każdą przemocą... wolności trzeba bronić do ostatniego tchu! Człowiek to nie bydlę, aby lada kto silniejszy od niego gnębił go i kopał jak psa! My nie napadaliśmy na ich miasto, ale oni [Ukraińcy – UJ] na nasze! Rozumiałbym, gdyby oni powiedzieli: w tym mieście żyjemy także i my, wobec tego będziemy się wspólnie gospodarzyć, i to w takim stosunku – jak powiedziałby nasz profesor matematyki – w jakim stoi ilość Rusinów tu mieszkających, do ogólnej ilości mieszkańców miasta. Ale na takie postępowanie, jakie oni do nas zastosowali, jest tylko jedna odpowiedź – bronić się! Nie może też być mowy o żadnym dekowaniu się²⁴.

²² Tamże, s. 227.

²³ Tamże, s. 217–218.

²⁴ M. Beżłuda, *Józko żołnierzem polskim*, s. 78.

Nic jednak nie może według Kulika usprawiedliwić bierności Polaków w tej dziejowej chwili.

Dla naszych rozważań bardzo istotne są te fragmenty książki *Bezludy*, w których Józko podkreślał swą przynależność do społeczności lwowskich batiarów.

Na Zamarstynowie – wspominał – po walkach z Ukraińcami biła się sama nasza batiarnia²⁵.

Gdy natomiast spotkał wśród obrońców polskiego podporucznika, do niedawna jeszcze austriackiego lejtnanta, tak go zaprezentował:

Ziwra [mówi – UJ] jak pierwszy lepszy batiar łyczakowski. Zaraz poznać, że to chłop z naszej wiary²⁶.

Określenia „batiar” nie rezerwował Józko tylko dla mieszkańca Łyczakowa. Swego plutonowego nazywa „zwyczajnym kleparowskim batiarem”²⁷, a w głosie nie ma tej sympatii, którą słyhać, gdy mówi o „swym kochanym Łyczakowie”. W książce *Bezludy* pada także określenie „batiar z Gródka”²⁸, tym razem bez żadnej uczuciowej ekspresji. Z zapisów tych wynika, że pojęcia „batiara” nie przypisywano tylko do Łyczakowa, a używano go z różną intonacją, przypisując mu raz cechy pozytywne, innym razem negatywne. O tych samych batiarach z Zamarstynowa, o których już opowiadał Józko, lokator Bielecki wypowiadał się z mniejszym entuzjazmem:

A batiary nasze, jak batiary. W dzień zajmowali pozycje i kropili się, aż dudniło, ale jak przyszła noc, to szli sobie do domu spać! Ukraińcy zaś nocą zajmowali ulice i dalej robić wszędzie rewizję²⁹.

Obie powieści *Bezludy* upowszechniały pewien bardzo wyraźny wizerunek lwowskiego batiara. Józko jako przedstawiciel tej społeczności musiał spotkać się z sympatią odbiorców obu książek. Wykreowany na bohatera pozytywnego nawet wobec swych przeciwników w listopadowych walkach o Lwów potrafił powstrzymać się od słów całkowicie ich potępiających:

Nie czuję tej złości do nich za to, że są Ukraińcami – bo sam mam między nimi wielu kolegów, z którymi lubię się jak z braćmi, ale dlatego, że oni mając broń w ręku, z taką przemocą innych traktują. Czuję tę złość dlatego, że oni tak podstępnie, nocą zajęli to miasto, w którym urodziłem się i wychowałem³⁰.

²⁵ Tamże, s. 154.

²⁶ Tamże, s. 22.

²⁷ Tamże, s. 76.

²⁸ Tamże, s. 168.

²⁹ Tamże, s. 154.

³⁰ Tamże, s. 18.

Już w tej wypowiedzi Józka pojawia się nuta patosu. W innych będzie ich jeszcze więcej. Józko jest dumny z tego, że potrafił stanąć po właściwej stronie, że zgłosił się na ochotnika do oddziałów polskich i wyprzeć przeciwnika z miasta.

Chciałbym – mówi w pewnym momencie – zobaczyć matkę w chwili, w której doniosą jej, że mnie widziano... jak wkraczałem do Rynku. O matko moja, żebyś teraz mnie widziała, to może i przypomniałabyś sobie, jak kiedyś – powróciwszy do domu z wieścią o wkroczeniu austriackich patroli – mówiłem, że chciałbym tak jak i oni wkroczyć do zdobytego miasta! I oto dziś wkraczam jako pierwszy do mego kochanego Lwowa! Odbieram od Ukraińców ten bruk lwowskiego rynku, na którym tyle czasu na zabawach spędziłem. Spoglądam też na każdy mijany przeze mnie kamień, jak ongiś, kiedy tu szukałem pieczarek, któreś ty mi o matko jako przysmak na obiad sporządziła³¹.

Czytelnik powieści *Bezludy* musiał kończyć jej lekturę z jednoznacznym przekonaniem, że ma do czynienia z prawdziwym bohaterem – taki zamiar towarzyszył niewątpliwie autorowi. Zamknął on bowiem swoją książkę znamieną sceną. Rannego Józka odwiedził stary profesor gimnazjalny – Trzeciński. Po zawiadomieniu go, że właśnie nadeszła oczekiwana od dawna pomoc dla Lwowa, dodał: Teraz będziesz mógł przygotować się do pracy dla wolnej Polski, której wolność własną krwią okupiłeś³².

Do tych listopadowych dni 1918 roku nawiązał w swych wierszach po wielu latach także Marian Hemar [1901-1972], by ożywić pamięć o młodych obrońcach Lwowa, by podtrzymać ten stworzony już wcześniej mit batiara-obroncy. W innej już co prawda tonacji. Jest bowiem w tych wierszach nie tylko podziw, ale też żal i tęsknota za wielkimi czynami małych lwowskich batiarów:

A mnie tak śpiewem chodzi po głowie
 Że tam się został - daleko stąd
 Na tym cmentarzu, na Łyczakowie
 Małych mogiłek równiutki rząd [...]

Listopad sypie garściami liści
 Na grządki, w których pokotem śpią.
 Małe batiary – gimnazjaliści –
 Pod czarną ziemią - za siwą mgłą [...]

³¹ Tamże, s. 132.

³² Tamże, s. 200. Na zakończenie tej obszernej analizy obu powieści *Bezludy* należy się czytelnikowi pewne wyjaśnienie. Poświęcono tym obu książkom tyle miejsca w tym tekście nie tylko dlatego, że dziś trudno dotrzeć do nich, ale i z tego powodu, że nie mamy oprócz tych dwu powieści żadnej innej, której głównym bohaterem byłby lwowski batiar.

Kto go tak uczył? Kto go tak skusił?
 Jaką muzyką? Do jakich słów?
 Kto go opętał? Kto go przymusił,
 Żeby on ginął? Za co? Za Lwów -

Kto mu wyszeptał słowa nadziei,
 Że on na zawsze, na wszystkie dni
 Do polskiej mapy ten Lwów przyklei
 Gumą arabską... kropelką krwi...[...] ³³

Ten sam mały lwowski batiar broniący Lwowa w 1918 roku pojawił się jeszcze w innym wierszu Hemara³⁴. Trzeba jednak zauważyć, że sam lwowski batiar w utworach Hemara przywoływany jest bardzo rzadko. To charakterystyczne dla Lwowa określenie jego mieszkańca okazuje się być dla Hemara, tego człowieka zakochanego we wszystkim co lwowskie, jak gdyby mało istotne. Nie odnosi go przy tym do jakiejś specyficznej kategorii lwowian. Dla Hemara bowiem baciarem jest każdy mieszkaniec Lwowa³⁵. I za każdym razem jego baciarz ma „nacechowanie pozytywne”, inaczej niż u wspomnianego już Witolda Szolgini. Stałym natomiast obiektem jego podziwu i tęsknoty pozostawało samo miasto. On sam o sobie napisał wszak: Temat Lwowa jest obsesją moich wierszy i piosenek. Nie mogę się i nie chcę jej pozbyć³⁶. I chociaż Leopold Kielanowski w swym eseju twierdził, że:

Patriotyzm Hemara miał kolor szczero-lwowski. Dźwięczał w nim heroizm wszystkich obrońców miasta i nigdy strofy jego wiersza i piosenki o Lwowie nie zabrzmiały fałszywym tonem. Uwiódł go za młodu humor i sentyment lwowskiego batiara³⁷,

to nie tylko trudno powiedzieć na czym to „uwiedzenie” polegało, ale jeszcze trudniej byłoby zaliczyć Hemara do współtwórców mitu batiara. Nie ma natomiast wątpliwości, że Marian Hemar przez całe swoje życie tworzył wielką legendę samego Lwowa, tego zatrzymanego w pamięci przed opuszczeniem

³³ M. Hemar, *Piosenka o cmentarzu na Lyczakowie*, w: *Chlib kulikowski*, Warszawa 1990, s. 180–181.

³⁴ Tenże, *Strofy lwowskie*, tamże, s. 85.

³⁵ Tenże, *Kolęda lwowska*, tamże, s. 44, oraz *List do pana prokuratora w Szczecinie*, tamże, s. 80. W wydawanych po wojnie w Londynie kolejnych tomikach próżno by szukać śladu lwowskiego batiara. Por. M. Hemar, *Lata londyńskie*, Londyn 1946, tenże, *Satyry patetyczne*, Londyn 1947, tenże, *Siedem lat chudych*, Londyn 1955, tenże, *Ściana uśmiechu*, Londyn 1968, tenże, *Wiosna i zima. Wiersze lwowskie*, Londyn 1972.

³⁶ M. Hemar, *Uwagi na końcu*, w: *Chlib kulikowski*, s. 189.

³⁷ „Dziennik Polski i Dziennik Żołnierza” 1972 nr 8 z 19 lutego.

Polski w 1939 r. Już w jednym ze swych pierwszych tzw. wierszy lwowskich, opublikowanym w czasopiśmie „Lwów i Wilno” wydawanym w Londynie, rozpoczął tworzenie tej legendy. Nie czuł się dobrze w obcym Londynie, nie chciał pogodzić się z tym, że to za niego podjęto decyzję i skazano na życie tułacza:

Takeś w tej obcej mgle się zgubił
Czego tu szukasz błędny, sam?
Tu nic nie znajdziesz już. To tam
Wszystko, coś kochał i coś lubił -
Radości - twoje, smutek - twój
I śmiech i świat, nie cudzy, twój...
Czego ty tutaj szukasz? Stój³⁸.

I tak stał się Hemar twórcą legendy dawnego Lwowa. Mówiono o nim: człowiek zakochany we wszystkim co lwowskie. Tak to wyjaśniał wspomniany już Leopold Kielanowski:

Był Hemar kresowcem bujnym, pełnym kolorów, jak nasze pola i lasy, dźwięczą-
ce melodiami Rzeczypospolitej Narodów! Nałykał się od dzieciństwa tego jedyne-
go powietrza, które wydało Fredrę i Goszczyńskiego, hetmana Czarnieckiego, obroń-
ców Zadwórza i lwowskie Orleąta. Wyssał z mlekiem żydowskiej matki – jak sam pi-
sał – miłość do mowy polskiej i do ziemi rodzinnej, a zwłaszcza do Lwowa –
„semper fidelis”.

I dodawał jeszcze Kielanowski coś niezwykle ważnego dla zrozumienia sto-
sunku Hemara do miasta nad Pełtwią:

Lwów pozostał dla niego na zawsze tą bliższą ojczyzną, wyrastał w jego odczu-
ciu do mitu, do symbolu młodości, piękna, braterstwa. Był dla niego „Ceutą” wy-
jęsknioną, a on sam widział siebie jako strażnika nieustraszonego tej ziemi odległej
i utraconej³⁹.

Mijały lata, a Hemar pozostawał niepokodzony z nowym miejscem Lwowa
na mapie politycznej Europy. W wydanym w Londynie w 1955 roku tomiku
Siedem lat chudych zamieścił wiersz *Brutalny szok*, a w nim powtórzył słowa
sprzed lat:

Londyn płynie koło mnie
Tłumem, szumem, szelestem -
A ja tam, w tamtym mieście,
W dzień jestem i w nocy jestem

³⁸ M. Hemar, [bez tytułu], „Lwów i Wilno” 1946 nr 1 z 10 listopada.

³⁹ „Dziennik Polski i Dziennik Żołnierza. Tydzień” 1972 nr 8 z 19 lutego.

Tam ulicami chodzę
 Tam przyjaciół pozdrawiam
 Żywych do piersi tulę
 Z umarłymi rozmawiam [...] ⁴⁰

Te i inne wiersze skazywały Hemara na nieobecność w kraju, na milczenie i zakaz druku.

W podobnej sytuacji znalazła się również inna emigracyjna pisarka Janina Węgrzyńska-Kościałkowska [ur.1915], mniej znana niż Marian Hemar, ale równie silnie jak on związana ze Lwowem. Z miasta swego dzieciństwa i młodości wyjechała w 1941 roku. Tuż przed wybuchem wojny skończyła we Lwowie Państwowy Instytut Sztuk Plastycznych. Po przedostaniu się do Szwajcarii, w Bernie założyła polski teatr objazdowy i nawiązała współpracę z „Wiadomościami Polskimi” w Londynie, publikując tam swe opowiadania najpierw pod pseudonimem J. Wadwicz, potem już pod swym własnym nazwiskiem. Po wojnie osiadła w Londynie, a po kilkuletnim pobycie w Anglii przeniosła się na południe Francji. Tam otworzyła pracownię malarską i tam powstawały jej następne teksty literackie.

Już w Londynie, jakby na przekór słowom, które przywitały ją tam w 1946 roku: Z emigracji się nie wraca...⁴¹, Kościałkowska kilkakrotnie ponawiała swe literackie powroty do Lwowa sprzed 1941 roku. Zapamiętała tamten Lwów jako miasto „najbardziej zróżnicowane pod względem narodowym i religijnym”⁴². Bohaterowie jej powieści zakochani są w swym mieście, a jeden z nich – Szymon Pławicki, lwowski architekt, spędza długie godziny nad badaniami historii Lwowa „obcując z ulicami jak z ludźmi, wiodąc nieskończone rozmowy z poszczególnymi wyimkami i całokształtem dzielnicy”⁴³.

Lektura takich powieści musi więc skłonić badacza do postawienia pytania o to, czy w książkach Kościałkowskiej znalazło się również miejsce dla lwowskiego batiara. Okazuje się, że tak, ale czytelnik nie spotka go na lwowskiej ulicy czy którymś z lwowskich przedmieść. Kościałkowska wprowadziła dwu lwowskich batiarów do teatryku marionetek, kazała im rozmawiać bałakiem, a przede wszystkim nie omieszkała zaznaczyć, iż reakcja publiczności lwowskiej na ich dialog była bardzo przyjazna:

Ludzie siedzieli uśmiechnięci, przychylnie usposobieni, skłonni do oklasków⁴⁴.

⁴⁰ M. Hemar, *Siedem lat chudych*, Londyn 1955, s. 119.

⁴¹ J. Kościałkowska, *Łódź bukowa*, Londyn 1988, s. 146.

⁴² Tamże, *Sprawa numer jeden*, Londyn 1967, s. 33.

⁴³ Tamże, s. 161.

⁴⁴ Tamże, s. 97.

A wszystko to działo się w pierwszych dniach drugiej wojny światowej, w wolnym jeszcze Lwowie, ale już pełnym uciekinierów, głównie z centralnej Polski. Cały dialog dwu lwowskich batiarów Felka i Tolusia przypomina bardzo rozmowy Szczepka i Tońka z Wesołej Lwowskiej Fali. Durnowaty Felek i mądrzejszy, bardziej od niego – jak wynika z tekstu – „oczytany” Tolek próbują ocenić ówczesną sytuację i szanse obrony Lwowa. Reakcja publiczności, jej gęste brawa spowodowane były przede wszystkim tym, że obu batiarów nie opuszczał nawet w tak trudnej chwili humor i chęć przeciwstawienia się wrogowi, a nawet pociągnięcia do walki innych. Nikt nie mógł mieć wątpliwości, że są do tego zdolni, a zwłaszcza Felek mówiący o sobie:

[...] ja semper fidelis od maleńkości.

To on też uspokaja pojawiającą się na scenie kobietę w czerni uosabiającą Ojczyznę:

Wszyscy u Lwowi prędzej zginą, niżby dali jej krzywdę zrobić⁴⁵.

Cały ten pięciostronicowy opis występu teatrzyku marionetkowego jest jednym wielkim hymnem na cześć lwowskiego batiarza. Po jego lekturze nikt już nie poważy się źle wypowiedzieć o lwowskim batiarze. Czym więc jest piarstwo Kościałkiewiczowej, jeśli nie udziałem w tworzeniu mitu lwowskiego batiarza?

Potwierdza to tylko *Kapliczka przydrożna* i taki oto krótki fragment z relacji ułana z września 1939 roku:

Ten chłopiec, który się do nas przyczepił we Lwowie, to typowy lwowski batiar, można by tomy pisać o nim. Zdobył skądś parabellum i dumny z tego i szczęśliwy, że mu się tylko oczy jarzą. Mówi, że ma piętnaście lat, ale na pewno ma grubo mniej. Skłamał, żeby nas ubłagać. Niech jedzie, co tam. Jest synem woźnego z zakładu kartograficznego profesora Romera przy ulicy Długosza we Lwowie⁴⁶.

Tym razem to nawet nie jakaś abstrakcyjna, wymyślona postać, ale realny kandydat na bohatera. I znowu ciśnie się tu następne retoryczne pytanie: Czy ta scena nie przypomina innej sprzed 21 lat, tamtej z Obrony Lwowa, gdy Jurek Bitschan przyłączał się do obrońców miasta?

Mało kto dziś pamięta, że jedną z pierwszych krajowych prób autorskiego literackiego powrotu do Lwowa sprzed 1939 roku była autobiograficzna powieść Leszka Golińskiego [zm. w 1967 roku] pt. *Rocznik szesnasty*, traktująca o latach 1934–1938, który to okres autor książki spędził w murach lwowskiego

⁴⁵ Tamże, s. 98.

⁴⁶ Tamże, *Kapliczka przydrożna*, Londyn 1958, s. 17.

gimnazjum⁴⁷. Niejednego z czytelników powieści Golińskiego może zaskakiwać informacja, że na jej karty nie został nawet na moment wprowadzony lwowski batiar, zwłaszcza że akcja książki toczy się także w środowisku najuboższych mieszkańców Lwowa⁴⁸. Gdy jednak dodamy, że autor robił wszystko, aby nie przypisano mu nostalgii za miastem jego młodości, za osobliwościami i specyfiką Lwowa, to fakt niepojawienia się batiara w *Roczniku szesnastym* stanie się bardziej zrozumiałą. Golińskiemu zależało przede wszystkim na przybliżeniu czytelnikowi ludzi związanych z klasowym ruchem komunistycznym we Lwowie w drugiej połowie lat trzydziestych. Dla autora najważniejszym wątkiem zdaje się być „proces dojrzewania klasowego” syna lwowskiej praczki wyrzuconego z gimnazjum za lewicowe poglądy, a sam Lwów – to dla Golińskiego tylko jedno z miejsc, gdzie wielu młodych ludzi wiązało się silnie i z pełnym oddaniem z ruchem komunistycznym. Warto w tym miejscu też przypomnieć, że w tym samym mniej więcej czasie w „Nowych Sygnałach” ukazała się korespondencja Golińskiego z jego pobytu we Lwowie w 1957 roku, w której przekonywał czytelnika, że jakiegokolwiek emocjonalne powroty do miasta ze strony Polaków i przypominanie o jego polskiej historii nie mają sensu, a nawet szkodzą polsko-ukraińskiemu porozumieniu⁴⁹.

Okazało się więc, że nie każdy lwowianin musi tęsknić za miastem swego dzieciństwa i młodości. Nie musi być tym miastem urzeczony i wspominać je jako „raj utracony”. Że może go pamiętać inaczej. Tak chociażby, jak jeden z bohaterów powieści Golińskiego:

Na Słonecznej bawiły się dzieci w rynsztokach, turkotały ciężkie wozy. Pijak, objawszy latarnię, podśpiewywał o Maryśce, co nie chciała iść do łóżka. W oknach siedziały blade dziewczyny i patrzyły w gwiazdy⁵⁰.

Inny bohater Golińskiego stwierdza zaś w innym miejscu:

Nawet wiosna była w tym mieście dla burżujów, obelgą dla takich jak on⁵¹.

Podobne obrazy z międzywojennego Lwowa zapamiętał Julian Strykowski. Po raz pierwszy do swego lwowskiego okresu życia nawiązał w wydanej w 1962 roku powieści *Czarna róża*. Ten urodzony w 1905 roku pisarz [zm. w 1996 roku] studiował na Uniwersytecie Lwowskim w okresie między-

⁴⁷ J. Goliński, *Rocznik szesnasty*, Wrocław 1957.

⁴⁸ Autor nigdzie co prawda nie używa określenia batiar, ale w swej książce pisze o „chłopcach ulicznych”, którzy biegną na spotkanie robotniczej manifestacji. Tamże, s. 174.

⁴⁹ J. Goliński, *Lwów Anno 1957*, „Nowe Sygnały” nr 43 z 27 października 1957 r.

⁵⁰ J. Goliński, *Rocznik szesnasty*, s. 74.

⁵¹ Tamże, s. 169.

wojennym i we Lwowie związał się ruchem komunistycznym. Nie było więc dla nikogo zaskoczeniem, że to właśnie środowisko robotników Lwowa lat trzydziestych sportretował w *Czarnej róży*. Natomiast większość lwowianów, którym przyszło opuścić Lwów w 1945 roku, mogła poczuć się zawiedziona. Trudno bowiem doszukać się w powieści Strykowskiego tej nostalgii i zauroczenia Lwowem, które emanowały z całej twórczości Mariana Hemara. Lwów widziany oczyma pobywacza z prowincji, bohatera *Czarnej róży*, nie był miejscem przyjaznym ludziom. W tym „wielkim nieznanym” i „brzydkim” mieście denerwowało go „ciągłe dzwonięcie tramwajów, turkot i trzaskanie wozów ciężarowych o kamienny bruk, prychanie dymiących samochodów, szare brudne mury, kręte uliczki pełne spieszących się ludzi nie widzących nikogo”⁵². Bohater powieści Strykowskiego nie kryje wcale, że Lwów jawi mu się jako miasto pełne nieuprzejmych, złych ludzi, nieżyczliwych dla obcych. Oszłamiony jest co prawda ożywionym ruchem wieczornym na ulicach, witrynami sklepów na ulicy Legionów, „jasnej jak w dzień od lamp łukowych wysoko zawieszonych”. Ale w tym samym Lwowie szybko odkrywa też „ciemną przestrzeń pozbawioną latarni, zapełnioną parterowymi domkami o oknach tuż przy ziemi”⁵³.

Ogromnie dużo biedy i nędzy w tym Lwowie Strykowskiego. I zapracowanych, choć nie zawsze milcząco przyjmujących swój los, jego mieszkańców. Tutaj można zdechnąć na ulicy, a nikt nawet nie spojrzy na ciebie⁵⁴ – pisze Strykowski i czytelnik nie ma wątpliwości, że brzmi to jak wielkie oskarżenie tamtej rzeczywistości. Nie wydaje się, aby w czasie, gdy *Czarna róża* trafiała do czytelników, Strykowski wątpił, że przed trzydziestu laty dokonał niewłaściwego wyboru ideowego i politycznego. Akcja powieści rozgrywa się przecież na przełomie 1934/1935 roku, a w opisie pierwszomajowej demonstracji lwowskich robotników trudno nie dopatrzeć się ówczesnych sympatii politycznych autora⁵⁵, dla którego takie samo prawo do godnego życia w mieście miał zarówno robotnik polski, jak i ukraiński i żydowski. To dopiero po wielu latach w swym wielkim rozliczaniu się z historią i własnym życiem oznajmił swemu rozmówcy, że według niego Lwów był miastem polskim⁵⁶.

⁵² J. Strykowski, *Czarna róża*, Warszawa 1962, s. 15.

⁵³ Tamże, s. 22.

⁵⁴ Tamże, s. 57.

⁵⁵ Tamże, s. 201–207.

⁵⁶ *Ocalony na Wschodzie*. Z Julianem Strykowskim rozmawia Piotr Szewc, Montricher 1991, s. 94.

Nie sposób nie napomknąć w tym miejscu, że Strykowski ze swą pewnego rodzaju fascynacją robotniczym Lwowem, lwowskimi robotnikami, którym „z twarzy było widać, że czuli się szczęśliwi, gdy szli we wspólnym pochodzie”. Tak dobrze każdemu, gdy we stu kroczy jak jeden⁵⁷ – przypominał i w jakimś sensie kontynuował twórczość Tadeusza Hollendra, lwowskiego poety o lewicowych przekonaniach, urodzonego w 1910 roku w rodzinie żydowskiej, a rozstrzelanego w Warszawie w 1943 roku⁵⁸. I chociaż zarówno Strykowski, jak i Hollender piszą o lwowskich przedmieściach, to trudno by tam próbować odszukać lwowskiego batiara. Wydaje się, że nawet jeśli obydwaj stykali się we Lwowie swej młodości z tym określeniem – a zetknąć się przecież musieli – to nie mogło się ono pojawić w wyżej wspomnianych książkach, bo zatarłoby czy skomplikowało ich obraz ówczesnego społeczeństwa, które pokazywali podzielone w prosty sposób: na wyzyskiwaczy i wyzyskiwanych. Siebie zaś widzieli w roli obrońców tych ostatnich.

W 18 lat po wydaniu *Czarnej róży* Strykowski zdecydował się wprowadzić czytelnika po raz kolejny do Lwowa czasów swej młodości. Nie jest jednak głównym celem Strykowskiego powrót do Lwowa lat II Rzeczypospolitej. Za znacznie ważniejszą uznał próbę rozliczenia się ze swej współpracy we Lwowie z władzami sowieckimi w okresie 1939-1941. Nic więc dziwnego, że nie ma czasu na przyglądanie się samemu miastu, jego mieszkańcom i ich problemom. Interesuje go przy tym jeden typ relacji międzyludzkich, a mianowicie to, jak układają się stosunki między przedstawicielami nowej władzy sowieckiej a tymi, którzy uznali ją za swoją, a wśród których i on sam się znalazł. Do tego swoistego katharsis Strykowskiemu wnikanie w specyfikę samego Lwowa, szukanie jego osobliwości właściwie nie jest potrzebne i trudno by tu szukać śladów emocjonalnych więzi autora z miastem, w którym przyszło mu spędzić te dwa trudne lata, będące okresem „wielkiego strachu”⁵⁹.

Szukając śladów lwowskiego batiara w utworach literackich nie można nie sięgnąć do dziś prawie zapomnianej powieści Julii Prajs-Bristigerowej [zm. w 1972 roku]⁶⁰. Akcja powieści rozgrywa się we Lwowie i w Galicji wschodniej podczas I wojny światowej. Nie ma w niej Hemarowskiej nostalgii i tęsknoty za Lwowem. Spędzony w mieście okres swej młodości autorka zdaje się uważać za zamknięty, wart przypomnienia, ale z zastosowaniem pewnych

⁵⁷ J. Strykowski, *Czarna róża*, s. 201.

⁵⁸ Por. T. Hollender, *Czas, który minął*, Lwów 1936. W poezji Hollendra dominował – jak pisze Jan Wojnowski – „buntowniczy protest przeciw krzywdzie i nędzy proletariatu” J. Wojnowski, *Tadeusz Hollender*, w: *Literatura polska*, Warszawa 1984, s. 361.

⁵⁹ J. Strykowski, *Wielki strach*, Warszawa 1980.

⁶⁰ J. Prajs, *Krzywe litery*, Warszawa 1960.

preferencji w kreśleniu literackiego obrazu tamtej przeszłości. I choć autorka stara się ukazać różne opcje polityczne, to czytelnik nie ma wątpliwości, że racja jest po stronie jednego z bohaterów książki, Staszka Lubańskiego, młodego członka Polskiej Organizacji Wojskowej. Przemawiając do majstra Lepieżnego, starego socjalisty potępiał wszechpolaków, odmawiających ludowi ukraińskiemu prawa do własnego państwa:

Towarzyszu moim zdaniem, naszym zdaniem, młodzieży, Galicja Wschodnia wraz ze Lwowem winna zostać ukraińska⁶¹.

Mimo że autorka penetruje bardzo różne środowiska galicyjskiej i lwowskiej społeczności, to czytelnik nie natknie się w tej powieści na postać lwowskiego batiara. Ma natomiast okazję stwierdzić, że autorce i lwowskim robotnikom, których wprowadziła na karty swych *Krzywych liter*, samo określenie „batiar” było znane. Warto przyjrzeć się kontekstowi, w jakim się ono w książce pojawiło.

Oto w listopadzie 1918 roku lwowscy kolejarze zgromadzeni na wiecu mają uchwalić rezolucję o bezzwłocznym przerwaniu strajku i podporządkowaniu się polskiemu dowództwu w walczącym Lwowie. Jeden z robotników jest temu przeciwny. Tak opisała to autorka:

Podniósł się ktoś drugi: – Na stacji grasuje jakiś oddział żandarmerii. Sami bandyci i złodzieje. Czego tu pilnują? Może nas kolejarzy? – huczał na cały głos. – Nie trzeba nam takiej ochrony! Bandytów, batiarów, szumowin!⁶².

Jak widać nie było zamiarem Julii Prajs-Bristigerowej mitologizowanie lwowskiego batiara, ale oddanie nastawienia do niego robotniczego Lwowa i – tym samym określenie jego miejsca w lwowskiej społeczności. Mamy tu bowiem do czynienia z taką oto sytuacją, kiedy literatura pozwala nam na odkrywanie kontekstów i znaczeń określeń i pojęć, które chcemy poddać szerszej analizie. I trudno byłoby przypisywać autorce świadome i celowe działania mające zdeprecjonować w oczach czytelników lwowskiego batiara. Umieszczenie go w jednym szeregu z postaciami z marginesu społecznego, i to tymi źle kojarzącymi się czytelnikowi, traktować trzeba jako ślad, który zapadł w jej pamięć, utrwalił się i został przywołany nie dla wyrażenia jej własnej opinii, ale dla oddania sposobu rozumienia tamtej lwowskiej rzeczywistości przez pewną grupę mieszkańców Lwowa. I to sposobu tak jednoznacznego, że nie wymagał on według niej jakiś specjalnych wyjaśnień czy tłumaczeń.

⁶¹ Tamże, s. 289.

⁶² Tamże, s. 282.

Znacznie więcej możemy dowiedzieć się o lwowskim batiarze od Andrzeja Chciuka (ur. w 1920 roku w Drohobyczu – zm. w 1978 w Melbourne)⁶³, ale przyznać trzeba, że i jego powroty pamięcią do lat młodości odbywały się w specyficznej, nostalgicznej atmosferze. Andrzej Chciuk wielokrotnie pytał sam siebie o przyczynę urzeczeń „tamtym krajobrazem” z czasów młodości⁶⁴. Podkreślał, że ta jego pamięć o przeszłości ma szczególny charakter:

Mojego Drohobycza już nie ma, on żyje wyłącznie we wspomnieniu i rozrzewnieniu serdecznym, w uwzniośleniu i w wyższość wstąpieniu wspomnień⁶⁵.

I wydobywał ze swej pamięci ”nazwiska, symfonie nazwisk, warzy, zdarzeń, ocean nazwisk i gestów, przypomnień nikomu niepotrzebnych, a przecież kiedyś dla kogoś ważnych i jedynych”. Bez tych Chciukowych przypomnień nie byłibyśmy w stanie odtworzyć nastroju i atmosfery tamtego Lwowa. A to Lwów dla Chciuka był – mimo jego bardzo silnych związków uczuciowych z Drohobyczem – najpiękniejszym miastem na świecie, sercem tamtej ziemi. To dla Chciuka też lwowska knajpa literacko artystyczna, lwowski Atlas w Rynku pod numerem 45, nie miał sobie równych ani w Polsce, ani na świecie⁶⁶. Chciuk nie omieszkał przy tym wyjaśnić czytelnikowi, że knajpa Atlasa istniała we Lwowie od lat osiemdziesiątych XIX wieku, że założył ją Atlas, a później prowadził jego zięć Edward Tarlerski. Nad wejściem do knajpy wymalowano wiersz Henryka Zbierzchowskiego:

Rzućcie nadzieję, Wy co tu wchodzicie
że obła trzeźwość będzie Wam udziałem
wždy nawet troska, smęt i szare życie
w owej piwnicy piją gardłem całem

Pijmy ochoczo, miło, bez nakazu
jak pradziadowie pijali przed wiekiem
bo kto nie zaznał pijaństwa ni razu
ten nie jest godny, by się zwał człowiekiem.⁶⁷

Sam wspomniany przez Chciuka Henryk Zbierzchowski, który w 1935 roku otrzymał nagrodę literacką miasta Lwowa, także bywał u Tarlerskiego, ale w swych codziennych wierszykach w „Gazecie Porannej” o lwowskich batiarach nie pisał, co może zaskakiwać niejednego znawcę historii Lwowa.

⁶³ Por. A. Tomaszewski, *Andrzej Chciuk*, „Biuletyn Koła Lwowian” 1983, nr 46.

⁶⁴ A. Chciuk, *Ziemia księżycowa*, Londyn 1972, s. 6.

⁶⁵ Tamże, s. 33.

⁶⁶ Tamże, s. 94.

⁶⁷ Tamże, s. 103.

Zwłaszcza tego, który Zbierzchowskiego uważa za symbol lwowskości. U „Edzia Tarlerskiego” bywali lwowscy literaci, artyści, bywali Szczepko i Tońko i cała słynna Wesoła Lwowska Fala. To tej knajpie poświęcił też Chciuk jeden ze swych wierszy⁶⁸.

Gdy Chciuk wspomina bywalców lwowskiego Atlasa napomyka także o lwowskich batiarach, ale nie odnosi tego pojęcia do gości Edwarda Tarlerskiego. Batiarzy pojawiają się bowiem w opowieści o Romku Kopcu, piłkarzu słynnej drużyny „Czarnych”, którego ojciec miał wytwórnę trumien we Lwowie: Gdy Kopiec grał w Czarnych, batiary, obserwujące mecz z drzew stojących poza boiskiem śpiewali: stary Kopiec robi trumny, a ja jemu gównu umrę...⁶⁹. Ta charakterystyka lwowskich batiarów jest dość wymowna, zarówno jeśli chodzi o sposób ich bycia, jak i używany przez nich język. Okazuje się, że Lwów batiarów to dla Chciuka zupełnie inny Lwów niż ten, który zapamiętał, przesiadując u Tarlerskiego. Tak zachęcał czytelnika do przyjrzenia się tej innej części miasta:

Ktoś, kto batiarskie typy kocha
ich rdzennej gwary chce posłuchać,
naj idzi sobi do Knoblocha,
albu do knajpy Icka Spucha:
tam si nasłucha i napatrzy,
ży, braci, więcej nie zobaczysz,
choćbyś przemierzył świat wzdłuż i wszerz.
Tu są batiary najprawdziwsze,
Tu są batiary, że tak powiem,
Najbardziej lwowskie w całym Lwowie
kwiat, kwintesencja wszelkich mętów
w bałaku, w stylu, w geście, w minach⁷⁰.

Warto przyjrzeć się, jak Chciuk postrzegał ten batiarski styl, gest i minę oraz kogo gotów był określić mianem „batiarów najprawdziwszych”. Do Icka Spucha schodzili się według niego:

alfonsy, każdy z swoją zdziarą,
dziunią, lub cizią; i bandziory
różnych pokrojów i odcieni
[a każdy gnypa ma w kieszeni
każdy do gudza zaraz skory,
że lepiej nie zaczynaj z takim];

⁶⁸ Tenże, *Pieśń o jednej knajpie*, w: *Poemat poetycki*, Melbourne 1962, s. 31–33.

⁶⁹ Tamże, s. 107.

⁷⁰ Tenże, *O Icku Spuchu i o Knoblochu*, w: *Poemat poetycki*, s. 61. Lokal Icka Spucha znajdował się według Chciuka na Słonecznej.

złodzieje, kleszcze i kozaki,
wyrzutki z wyższych klas, maniacy,
łowcy lwowskiego kolorytu,
sombulicy, oraz tacy,
których najbardziej w porze świtu
pragnienie męczy⁷¹.

Jak widać, towarzystwo to nie bez przyczyny określił Chciuk „unikatowym”, a obrazowo do tej charakterystyki dodawał: Za sam kłapacz na Brygidki się giberuje bractwo posłać.

U Icka Spucha na lwowskich batiarów czekały flaki, kwargle i ryba po żydowsku; ta ostatnia z niewielką ilością cukru, dużą czosnku i kaiserwaldzkim majerankiem. Lokal słynął również z kaszanek i gęziej wątróbki, a także z tego, że kiedy robił się w niej tłok, właściciel „lepszych” gości zapraszał do swego mieszkania, brudną pościel na łóżkach nakrywał kapami i wtedy dopiero zaczynała się prawdziwa zabawa.

U Knoblocha z jedzeniem już było gorzej. Serwowano tu jedynie cebulę, rzodkiew, sól i sumer (po zamarstynowsku - chleb). W szynkwasiu nie uświadczyl gość Knoblocha ani szyb, ani półek, ani półmisków, bo: Gdy bractwu sy podpiji troszku, w bójkach i szpargach, w wielkich bitwach wszystko by przecież było w proszku. Nic dziwnego, że w tej sytuacji właściciel używał tylko blaszanych rynien i mis, i na nich wykladał swe zakąski, aby każdy mógł „brać do woli rzodkiew, cebulę, maczać w soli i na stojąco ją zagryzać”. Do tych samych często szumnych gości dostosowane zostały sprzęty „ciężkie, masywne i drewniane, pocięte i porysowane, w podłogę na fest wmurowane”. Knobloch zrezygnował też ze szklanek i wprowadził oryginalny sposób picia wódki z blaszanych kubków i to przymocowanych do stołów na łańcuszkach, „aby bractwo ich nie podiwanilo”⁷². Właściciel stosował też żelazną zasadę wobec swych gości: za konsumpcję płaciło się z góry.

Lubił Chciuk bywać i u Spucha, i u Knoblocha. Nie obawiał się lwowskich batiarów twierdząc: Nie takie oni straszne z bliska o tak, i że lwowskie są ludziska⁷³. Podziwiał nawet ich zadziorność i swoisty wdzięk, a przede wszystkim humor. Znał też dobrze „ich” język - bałak – oraz zwyczaje. Wiedział, że w tym towarzystwie „ogórki jadało się lewą ręką na zagrychę, nigdy prawą”⁷⁴. Mimo całej nieukrywanej sympatii dla lwowskich batiarów Andrzej Chciuk przypisywał całej tej społeczności, jak i jej poszczególnym przedstawicielom cechy niezbyt

⁷¹ Tamże.

⁷² Tenże, *Ziemia księżycowa*, s. 38.

⁷³ Tenże, *O Icku Spuchu i o Knoblochu*, s. 65.

⁷⁴ Tenże, *Ziemia księżycowa*, s. 38.

pozytywne i dobrze widziane wśród ludzi z tzw. dobrego towarzystwa. Kiedy na początku 1940 r. zdecydował się wraz z bratem Tadeuszem na ucieczkę ze Lwowa na Węgry, towarzyszył im w wyprawie niejaki Toniek Krasulski, którego przedstawił jako „batiara, przemytnika i dziwkarza lwowskiego”⁷⁵. Zestawienie tych określeń wydaje się tylko potwierdzać wcześniejszą jego opinię o batiarach i sam negatywny wydźwięk, jak niosło ze sobą to nazwanie.

Okazuje się, że nawet ogromna popularność dwu „pozytywnych” batiarów: Szczepka i Tońka z Wesołej Lwowskiej Fali nie zmieniła faktu, że w końcu lat trzydziestych i w czasie II wojny światowej, prezentując postaci z marginesu społecznego mówiono o nich: batiarzy. Potwierdzają to teksty Chciuka. Używa w nich określenia batiar nie tylko w odniesieniu do mieszkańców Lwowa. Dla Chciuka batiarem można było być także w jego rodzinnym Drohobyczu i w jego okolicy.

Jeśli Andrzej Chciuk do naszych rozważań dostarczył materiału niezwykle bogatego i różnorodnego, to nie można tego powiedzieć o Andrzeju Kuśniewiczu, urodzonym w 1904 roku w Kowenicach koło Sambora, a studiującym w Krakowie. Być może dlatego, że sam Lwów nie odegrał większej roli w jego życiorysie, trudno doszukać się w twórczości Kuśniewicza śladów lwowskiego batiara. Lwów w jego utworach nie pojawia się zbyt często, a jeśli już, to gdzieś tam na drugim planie, jako punkt orientacyjny na mapie luźno, swobodnie i wolno płynących wspomnień o Galicji z czasów rządów Franciszka Józefa, I wojny światowej i tej istniejącej po 1918 roku⁷⁶. Innym razem, tak jak w *Strefach* miasto nad Pełtwią zapełnia się przedwojennymi detalami i szczegółami, które powracają w nostalgicznych wspomnieniach bohaterów książki. Każdy z nich wyniósł z miasta to, co uważał za ważne dla siebie i nagle okazuje się, że te odłamki wspomnień nie przystają do siebie⁷⁷. Próżno by też w nich szukać lwowskiego batiara.

Jest on natomiast obecny w twórczości Witolda Szolginia (1923–1996). Pojawia się zarówno w jego wspomnieniach⁷⁸, jak i jego dwu tomikach wierszy⁷⁹, a także w *Tamtym Lwowie*, w którym znalazł się obszerny fragment o lwowskim batiarze⁸⁰. W tym rozdziale interesować nas będą jego poetyckie próby „splacania długu” wobec Lwowa. Trzeba przyznać, że nie było to przedsię-

⁷⁵ Tenże, *Atlantyda*, Londyn 1969, s. 18.

⁷⁶ Por. A. Kuśniewicz, *Lekcja martwego języka*, Kraków 1977.

⁷⁷ Tenże, *Strefy*, Warszawa 1976.

⁷⁸ W. Szolginia, *Dom pod Żelaznym Lwem*, Warszawa 1962.

⁷⁹ Tolu z Łyczakowa [W. Szolginia], *Krajubrazy serdeczny*, Bytom 1984, tenże, *Kwiaty lwowskie*, Warszawa 1987.

⁸⁰ Tenże, *Tamten Lwów*, t. 4, Wrocław 1993.

wzięcie łatwe i aby dotrzeć do szerszego grona czytelników, tomik zatytułowany *Krajubrazy syrdeczny* wydał Szolginia własnym sumptem, gdyż niewielkie miał szanse na znalezienie w tamtych czasach wydawcy, który podjąłby się przygotować do druku tę publikację, obawiając się ingerencji cenzuralnych. Tym bardziej, że autor nie ukrywał, iż on „własni ukropni churuje” na Lwów, a widok miasta zachowany w pamięci pozostaje wciąż dla niego „niezrównanym, jidynym na świecie”⁸¹. Jak widać, Szolginia pokusił się o coś, czego nikt przed nim nie zrobił, a mianowicie dokonał tego zapisu krajobrazów z dzieciństwa bałakiem – gwarą lwowską. Trudno przypuszczać, by w wierszach tych nie pojawił się batiar. Wszak to dla Szolgini „typowy eksponent istoty najpowszechniej pojmowanej lwowskości”⁸². Nie mogło więc dziwić, iż zdefiniował on pojęcie batiara w taki oto sposób:

Batiary – to dzieci so lwoskij ulicy,
 Wysoły, z fasonem, skory du kantania
 Na takich gdzi indzi mówiu „ulicznicy”,
 co ni wytrzymuji jednak porównania.

Szolginia jednak na tym nie poprzestaje i wprowadza dodatkowe jeszcze rozróżnienia:

„Makabunda” - batiar, co włóczyć si lubi
 I co lubi tagży pchać si w awantury:
 Kindyr - łachmaniarz, czenstu portki gubi
 W których same łaty, albu same dziury.

Nie zabrakło także w tej charakterystyce Szolgini opisu batiarskiego stylu i sposobu bycia, na co już wcześniej zwracał uwagę Andrzej Chciuk. Tak o nim pisze Szolginia:

Batiary trzymaju swój fasun chojracki
 Kto im wlizi w drogi, tego fest „kantuju”
 [Czyli mocno biju] albu „daju facki”
 A jeszcze inaczej - „pu Krzyźbantach daju”⁸³

Twierdził przy tym Szolginia, iż batiarowi lwowskiemu obce było „chamstwo” i „prostactwo”. Nie krył, że swe *Kwiaty lwowskie* wzorował na *Kwiatach polskich* Juliana Tuwima. Układał ten bukiet lwowskich kwiatów dla lwowianów, dla przypomnienia swych „szczęsnych lat”. Pisał też swe *Kwiaty*

⁸¹ Tenże, *Krajubrazy syrdeczny*, s. 62.

⁸² Tenże, *Tamten Lwów*, s. 30.

⁸³ Tenże, *O lwowski bałaku*, w: *Krajubrazy syrdeczny*, s. 73.

lwowskie dla zmanifestowania swego niepokodzenia się z faktem, że Lwów nie należy do Polski. I w tym tomiku pojawiło się określenie *batiar*, ale w zupełnie nowym znaczeniu. Tak je Szolginia pojmował w 1987 roku:

Zaś „*batiar*” także dla lwowiaka
Dziś jest tytułem honorowym,
Dopóki z niego też „*chlupaka*”
Co za cześć Miasta odda głowę
Jego pamięci wiernie strzeże
I że doń wróci – zawsze wierzy⁸⁴.

Witold Szolginia zmarł latem 1996 roku. W tym samym czasie pożegnaliśmy na zawsze Juliana Strykowskiego. Wcześniej odeszli inni przywołani tu pisarze i poeci. I tym samym te ich próby mitologizacji lwowskiego *batiara* stały się też historią. Jednocześnie też zaczęły żyć własnym niezależnym od autorów życiem, a ich wpływ na dalszy proces mitologizacji lwowskiego *batiara* określić będzie można dopiero po dłuższym czasie.

Urszula Jakubowska

Lvov Street Urchin in Literature

Summary

The author attempts to answer the question: In what degree did literature contribute to the creation of the myth of Lvov *batiar* (street urchin)? For that purpose she sought traces of that figure characteristic of Lvov in the works of writers associated with Lvov. It was also necessary to trace literary and situational contexts, in which the term *batiar* appeared in imaginative literature. It has been found that not all Lvov writers and poets saw a positive hero of a Lvov street in the *batiar*, who should be glorified or admired. Not all writers mentioned that figure with sympathy and nostalgia. If we have to do with a clear process of mythologisation of the Lvov *batiar* in diaries, radio dialogues, and films, imaginative literature participates in this process only partially, and this is discussed in the present article.

⁸⁴ Tamże, s. 25.